

Nr 1/2018 (72)

MIXER

MAGAZYN STUDENTÓW KRAKOWSKIEJ AKADEMII

Ludzie pełni
pasji!

ISSN 1732-6494

STAR WARS OCZAMI FANA

JA, AKOLITA, CZYLI SESJE RPG

INWIGILACJA W INTERNECIE

spis treści

Kurt Cobain. Legenda zrodzona z bólu	4
Uczyliśmy młodszych pierwszej pomocy!	6
Gamingowy świat	8
Dziennikarz w habicie	10
Gwiezdne Wojny oczami fana	12
Inwigilacja w Internecie – trzecie oko służb specjalnych	14
Ja, Akolita, czyli moja pierwsza sesja RPG	18
Kiedy dzieci powinny się usamodzielnić	20
Złombol – rajd charytatywny	22
DIY, czyli zrób to sam: organizator na dokumenty	24
Pierwsza praca mini-poradnik	26

MIXER magazyn studentów
Krakowskiej Akademii
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

ISSN 1732-6494

Redaktor naczelny:
Mateusz Matłok
mateusz-matlok@wp.pl

Zespół:
Bohdan Bilyk
Magda Grochalska
Patryk Haftek
Łukasz Kołton
Małgorzata Majcherek
Mateusz Matłok
Łukasz Rzeszutek
Eryk Ubaka

DTP i layout:
Mateusz Janusz
(hussars.pl)

Adres:
gazetamixer@gmail.com

Druk:
Drukarnia MK Promo

Nakład:
400 egzemplarzy

Opieka redaktorska:
Dariusz Baran
(Wydział Zarządzania
i Komunikacji Społecznej)

Czytaj nas w kolorze na smartfonie lub tablecie pod linkiem:
<https://issuu.com/magazyn-mixer>



i Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



od redakcji

Każdy z nas ma jakąś pasję; coś co nas napędza do działania, nie-
rzadko wygając poświęcenia niezliczonych godzin, skupienia, namysłu,
ale czasem nawet także litrów potu po ciężkim treningu. Świadomie
godzimy się na to, bo dzięki temu możemy się oderwać od codziennych
trosk i problemów, utrzymując jednocześnie nasze stopy blisko ziemi.
Plus gdzieś tam w głębi serca czujemy się przez to wzmocnieni, bardziej
wartościowi i powtarzamy sobie w duchu: „To jest TO! W tym się chcę
realizować, do tego jestem stworzony/stworzona!”

Zapraszam was na krótką wędrówkę, w trakcie której poznacie wiele
różnych dróg realizacji własnego „ja”. Przeczytacie m. in. o tragicznej hi-
storii oddanego muzyce Kurta Cobaina, ciekawym połączeniu powołania
zakonnego i PR-u w rozmowie z ojcem Janem Marią Szewkiem oraz o er-
pegowych zapaleńcach, którym niestraszne siedzenie przez parę godzin
przy stoliku pełnym kartek i różnokształtnych kostek. Zajrzemy także na
chwilę do świata Gwiazdnych Wojen, pogramy w kilka gier, a na koniec
zrobimy prosty segregator.

A jeśli i Ty, drogi czytelniku, interesujesz się czymś ciekawym
i chciałbyś podzielić się tym w „Mixerze”, zapraszamy serdecznie na
łamy naszego pisma! Ponowny start (i bardziej regularne wydawnictwo)
już od października! Zbierajcie więc pomysły, piszcie teksty i, cóż...

Do następnego razu!

Redaktor naczelny,
Mateusz Matfok

Zdobądź doświadczenie, poznaj fajnych
ludzi, poszerz horyzonty!

Dołącz do redakcji **MIXERA!**

Napisz na adres:

gazetamixer@gmail.com

Kurt Cobain.

Legenda zrodzona z bólu

„Czasem tak dużo chciałem powiedzieć, ale nikt nie chciał mnie słuchać. W końcu znalazłem najlepszy na to sposób (...). Tylko nie zawsze pomagało...”

Lubili go wszyscy, przyciągał ludzi jak magnes. Rozumiał ich, doskonale wiedział, kiedy ktoś był szczęśliwy czy smutny. Ciągle rysował, choć były to obrazki dziwne i zrozumiałe tylko dla samego autora: w końcu przelewał na nie wszystkie swoje emocje.

Poszukując dróg ujęcia wszystkim bolączkom sięgnął po marihuanę, która powoli prowadziła go do myśli samobójczych. W końcu zamierzał je urzeczywistnić, kładąc się na torach i czekając na śmierć. Los chciał, że wybrał niewłaściwe: pociąg przejechał tuż obok. To zdarzenie dało mu silnego kopa. „Może jednak nie jestem na tym świecie bez powodu?” – pomyślał. Niedługo potem zaczął słuchać rock’n’rolla. Gdy już większości utworów nauczył się na pamięć, sam zaczął pisać, a potem nagrywać. Poświęcał temu każdą wolną chwilę – niezależnie od tego czy oglądał telewizję, czy po prostu leżał, w jego głowie tworzyła się kolejna piosenka. W muzyce odnalazł wreszcie wspaniały strumień wyrażania samego siebie. Kurt Cobain.

Nie minęło wiele czasu, aż poznał Krista Novoselica, z którym później stworzył Nirvanę. Musiała ona powstać, nie tylko dla nas, ale przede wszystkim dla samego Kurta. Jej początki nie były łatwe. Choć pomału przybywało im słuchaczy, nieustannie brakowało pieniędzy. Zawsze jednak były pomysły, słowa

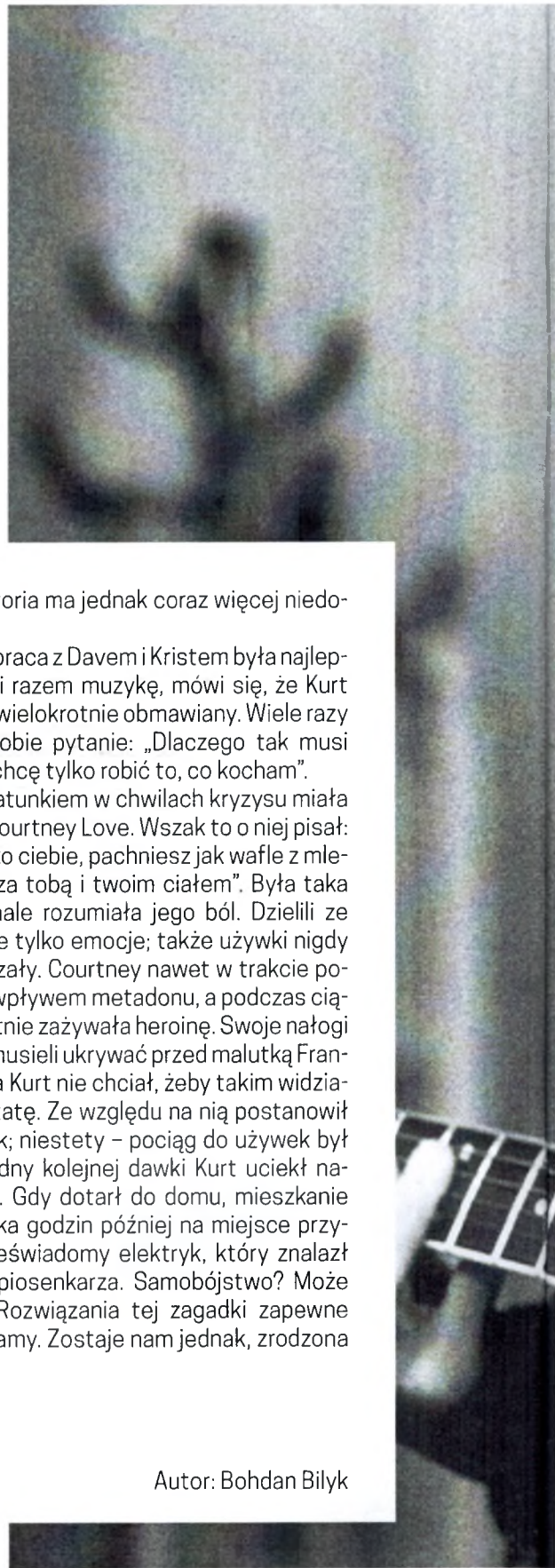
i pełne zaangażowanie. Dla nich nawet skromne granie dla kilku osób było koncertem. W 1990 roku trzecim pełnoprawnym członkiem grupy został Dave Grohl.

Dalsza historia ma jednak coraz więcej niedopowiedzeń.

Czy współpraca z Davem i Kristem była najlepsza? Choć grali razem muzykę, mówi się, że Kurt był za plecami wielokrotnie obmawiany. Wiele razy też zadawał sobie pytanie: „Dlaczego tak musi być? Przecież chcę tylko robić to, co kocham”.

Jedynym ratunkiem w chwilach kryzysu miała być dla niego Courtney Love. Wszak to o niej pisał: „Chcę być blisko ciebie, pachniesz jak wafle z mlekiem, tęsknię za tobą i twoim ciałem”. Była taka jak on, doskonale rozumiała jego ból. Dzielili ze sobą jednak nie tylko emocje; także używki nigdy ich nie opuszczały. Courtney nawet w trakcie porodu była pod wpływem metadonu, a podczas ciąży niejednokrotnie zażywała heroinę. Swoje nałogi małżonkowie musieli ukrywać przed malutką Frances. Zwłaszcza Kurt nie chciał, żeby takim widziała ona swego tatę. Ze względu na nią postanowił pójść na odwyk; niestety – pociąg do używek był zbyt silny. Głodny kolejnej dawki Kurt uciekł następnego dnia. Gdy dotarł do domu, mieszkanie było puste. Kilka godzin później na miejsce przybył niczego nieświadomy elektryk, który znalazł martwe ciało piosenkarza. Samobójstwo? Może morderstwo? Rozwiązania tej zagadki zapewne nigdy nie poznamy. Zostaje nam jednak, zrodzona z bólu, muzyka.

Autor: Bohdan Bilyk





Uczyliśmy młodszych pierwszej pomocy!



19 czerwca ubiegłego roku studenci Ratownictwa Medycznego z Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego mieli przyjemność przeprowadzić szkolenie z pierwszej pomocy dla wychowanków Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych przy ulicy Parkowej w Krakowie.

Uczestnicy mieli okazję spróbować swojej wiedzy w teście interaktywnym oraz w ćwiczeniach praktycznych z zakresu:

1. resuscytacja krążeniowo - oddechowa osób dorosłych z użyciem AED
2. resuscytacja krążeniowo - oddechowa u dzieci
3. postępowanie w zadławieniach u dorosłych i dzieci.
4. postępowanie w urazach (rany, oparzenia, złamania itp.)

Całe szkolenie przebiegło pomyślnie. Zgromadzeni z wielkim zaangażowaniem uczestniczyli

w scenkach praktycznych. Mieli również okazję zobaczyć ambulans od środka, gdyż część zajęć była prowadzona wewnątrz karetki. Mamy nadzieję, że w tym roku odwiedzimy równie aktywną grupę.

Autor: Patryk Haftek



Gamingowy świat

Wstaję, ubieram się, jem śniadanie. Przed wyjściem do pracy mam jeszcze parę godzin, więc „na szybko” włączam konsolę. Na chwilę wchodzę jeszcze w inny świat...

Melduję się na polu bitwy, stając do boju w największych starciach pierwszej wojny światowej. Pada rozkaz: atakować pozycje wroga, zdobyć umocnienia na wzgórzu 166! Nasz batalion liczy trzystu dzielnych szturmowców, medyków, zwiadowców, pilotów. Szykuje się zaciekły bój. Przeciwnik zamontował ciężkie karabiny maszynowe w strategicznych punktach linii obronnej. Każdy krok będzie okupiony krwią. Ludzie są niespokojni, niektórzy modlą się, wiedząc że następnego świtu mogą już nie ujrzeć. Ostatnie przygotowania, bagnet na broń, szybki łyk z menażki. Zaraz ruszamy. Poranne powietrze zalega ciężką mgłą na łące przed nami. Mgła to dobry znak – mniejsza widoczność oznacza mniejszą szansę bycia trafionym.. Na sygnał wybiegamy razem. Żołnierz po mojej prawej zostaje trafiony w głowę snajperską kulą, osuwa się martwy do dziury, w której spędziliśmy wieczność w oczekiwaniu.

Nagle tuż koło mnie upada granat. Próbuję uciec, lecz chwilę zamieszania wykorzystał wrogi snajper, czający się w oknie pobliskiego ratusza. Niech to! I znów trzeba czekać kilka sekund, nim wrócę do gry. Odpalę może coś innego...

Teraz jestem piromantą z bagien. Czarownikiem posługującym się magią ognia, wykorzystującym zdradzieczą truciznę by zadawać potworom bolesne obrażenia. Moją misją jest zagłębić się w świat pełen przerażających, nieumarłych bestii, by wreszcie zmierzyć się z królem tej przeklętej krainy, w której nic nie jest takie, jakie by się wydawało na pierwszy rzut oka. Każda ruchoma płytka pod stopami może okazać się śmiertelną pułapką. Miłe wróżki wskazujące drogę często okazują się krwiożerczymi wiedźmami, czyhającymi na apetyczne serce dzielnego bohatera. Nawet szkielety mogą okazać się przeszkodą nie do przebycia, atakując w nieobliczalny sposób. Przed każdą walką modłę się o przetrwanie, by po śmierci nie zmienić się w nieumarłego truposza. Zagłębiam się więc w podziemia Tomb of Giants, w jednej ręce trzymając ogniową magiczną rękawicę, w drugiej mój wierny topór. Oby



tylko nie skończyły mi się pochodnie, bo bez światła śmierć przyjdzie na pewno. Schodząc głębiej, przechodzę w labirynt skomplikowanych tuneli; otwierają się przede mną podziemne baseny płynnej magmy, w których kroczą wielkie, przypominające dinozaury gady. Ostrożnie podchodzę do nich, kalkulując następne ruchy, gdy nagle jedno uderzenie ogona kończy mój marny żywot. Trzeba się chyba lepiej dozbroić, wbić więcej doświadczenia, kupić pierścień pozwalający brodzić w lawie bez uszczerbku na zdrowiu i spróbować raz jeszcze. I jeszcze jeden, i kolejny, i następny. Z każdym kolejnym podejściem zaj-

dę jednak o krok dalej. Potrzebuję czegoś spokojniejszego.

Tym razem wyruszam w podróż. Przemierzam piaski pustyni, lodowce, i podziemne groty. Nie walczę, nie skupiam się na taktyce, nie muszę obawiać się nagłego zgonu. Mam ochotę odpocząć, potrzebuję chwili – by pomyśleć, uspokoić nerwy, zrelaksować się. Wsłuchać się w skrzypce, harfę, pianino... Okryty nomadzkim strojem, przemierzam bezkresy odludnej pustyni. W mej głowie skrywa się kłębowisko myśli, swoista pielgrzymka, pozwalająca wzruszyć się zachodem słońca, jego promieniami odbijającymi się

od skrzącego się piasku. Podziwiam słoneczny majestat, odkrywam nowy szlak, ale nie po to by dotrzeć do jego końca, zaliczyć konkretne zadanie. Odkrywam ten świat po to, aby poczuć lekkość, oderwać się od codzienności, odprężyć się.

Budzę się po kilku godzinach, z włączonym telewizorem i padem w dłoni. Za chwilę trzeba iść do pracy, wstaję więc od niechcenia, już snując w głowie plan na kolejne cyber-podróż.

Autor: Eryk Ubaka



Dziennikarz w habitcie

O powinnościach dobrego PR-owca, powołaniu oraz wizerunku Kościoła rozmawiałem z ojcem Janem Marią Szewkiem, rzecznikiem prasowym krakowskiej prowincji Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych (Franciszkanów). Rozmawiał Mateusz Matłok.

Gdzie ojciec studiował dziennikarstwo?

- W Lublinie. To było dwuletnie, dzienne Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa. Robiłem dwie specjalizacje: telewizyjne techniki realizacyjne oraz public relations i reklamę.

Jak to się u ojca zaczęło?

- Kiedy byłem na pierwszym roku studiów filozoficzno-teologicznych w Wyższym Seminarium Duchownym Franciszkanów w Krakowie, moi rok starsi bracia odkryli we „Wczesnych Źródłach Franciszkańskich”, że w 1223 roku św. Franciszek z Asyżu wystawił żywą szopkę w Greccio. Postanowili ten zwyczaj przetransferować do Polski. Było to możliwe dzięki kontaktom, jakie mieli m.in. z dyrektorem ogrodu zoologicznego. Udało im się zorganizować wydarzenie przed seminarium na Franciszkańskiej 4. Brakowało tylko osoby odpowiedzialnej za promocję tej inicjatywy, więc przyszedł do mnie. Do dziś nie wiem czemu. Chętnie się zgodziłem. Przez kilka lat byłem jej rzecznikiem. Pomagałem im także, gdy wraz z Polsko-Amerykańskim Instytutem Hematologii Dziecięcej urządzaliśmy festyn na Dzień Dziecka. Po studiach wyjechałem do pierwszej pracy do Wrocławia.

W międzyczasie nasz wychowawca ze studiów został wikariuszem prowincji i odpowiedzialnym za specjalizację braci. Przyjechał do mnie i zaproponował mi ukończenie studiów dziennikarskich na dowolnym uniwersytecie. Podczas poszukiwania uczelni na Uniwersytecie Wrocławskim dziekan zasugerował mi studia podyplomowe dzienne. Wtedy takie były w Lublinie. Tam też podjąłem drugi kierunek: public relations i reklamę, ukończony pracą na temat strategii budowania pozytywnego wizerunku wrocławskiej parafii franciszkanów.



A zatem te umiejętności się ojcu przydają.

- Bardzo, ponieważ jako dziennikarz i PR-owiec jednocześnie umiem oceniać i selekcjonować informacje oraz potrafię w odpowiedni sposób przekazać je mediom. PR-owcy często nie znają zasad, jakimi kierują się dziennikarze, nie wiedzą co ich interesuje albo w jaki sposób przekazać dany materiał. W tym zawodzie trzeba znać „kuchnię” oraz zapotrzebowanie każdego dziennikarza.

Dlaczego więc obrał ojciec drogę zakonną?

- Pan Bóg obdarzył mnie trzema powołaniami, które odkrywałem już od dzieciństwa. Jeszcze w przedszkolu chciałem zostać kapłanem, choć dopiero w ósmej klasie rozeznałem, że nie chcę być kapłanem diecezjalnym, ponieważ bałem się życia samotnego. Byłem jednak i chciałem żyć w grupie. W szkole podstawowej marzyłem też o byciu nauczycielem, w czym teraz się sprawdziłem, wykładając public relations. No i trzecie powołanie to dziennikarstwo, dodatkowo poszerzone o PR. Gdy szedłem na studia w 2000 roku dziedzina ta jeszcze nie była tak szeroko znana, dlatego gdy mówiłem znajomym, że będę pisał pracę o „piarze”, to pytali: „a dlaczego nie o franciszkaninie?”

(myśleli, że chodzi o zakonnika pijara). We wszystkich tych powołaniach wspierała mnie mama-nauczycielka, mówiąc że jeśli są to autentyczne powołania, to Pan Bóg pozwoli mi je zrealizować. Wówczas nie była to kwestia mody, nikt z moich kolegów nie chciał zostać dziennikarzem, nie miałem też żadnego duchownego w rodzinie.

No właśnie, „jeśli jest to autentyczne”. Niedawno na portalu mojepowolanie.pl przeczytałem artykuł opisujący historię kilku kleryków, którzy po pewnym czasie rozeznali swoją drogę i porzucili seminarium. Ich decyzja, choć smutna, spotkała się ze zrozumieniem i wsparciem współbraci.

- Po to jest tak długi okres rozeznania: rok postulatu, rok nowicjatu i sześć lat studiów. Po nowicjacie składa się śluby tylko na rok, i co roku je się odnawia, a dopiero na piątym roku studiów – na całe życie. Ten czas ma służyć nabraniu pewności, że jest to moja droga. W nowicjacie, w dzień imienin solenizant opowiada o swoim powołaniu i powodach, dla których wybrał zakon. Jednego natchnęła książka o św. Franciszku, drugi zachwycił się życiem braci, a jeszcze innemu odpowiadała duchowość franciszkańska bądź życie we wspólnocie. Przykład z ostatnich dni, wstąpił do nas 62-letni ksiądz diecezjalny, który zachwycił się Błogosławionymi Misjonarzami-Męczennikami. I on też w tym wieku odkrył powołanie misyjne.

Jak wygląda taki typowy dzień w zakonie?

- Klasztor to rodzina. Tworzymy wspólnotę osób w różnym wieku: od osób świeżo po studiach przez braci w średnim wieku aż po najstarszych. Istotne jest życie wspólne, przejawiające się we wspólnych modlitwach, posiłkach oraz rekreacji (czytaniu prasy, picu kawy, oglądaniu telewizji itp.). Każdy klasztor ustala własny porządek dnia w zależności od potrzeb i warunków. Rozpoczynamy zawsze poranną modlitwą. Później idziemy do swoich obowiązków. Ci, którzy podejmują obowiązki na miejscu, w klasztorze w południe celebrują modlitwę południową. Wtedy robią pierwszy rachunek sumienia. Po obiedzie powrót do przerwanych prac, a wieczorem kolejne modlitwy, kolacja i czas wolny. Na koniec dnia odmawiana jest kompleta, indywidualnie, bo powinna być tuż przed snem.

Ostatnio czytając „Imię róży” natknąłem się na scenę publicznej debaty na temat ubóstwa Jezusa. Z dzisiejszej perspektywy była nieco przesadzona, ale czy według ojca miałyby ona dziś sens?

-Taka dyskusja cały czas się toczy. Raz w miesiącu mamy na przykład dzień skupienia, a raz do roku pięciodniowe rekolekcje. Każdy zakonnik musi brać w nich udział. Zapraszamy wówczas do siebie gościa z ze-

wnątrz, przeważnie zakonnika z innego zakonu, który ma konferencje ascetyczne, w czasie których raz jeszcze przypomina się o złożonych zobowiązaniach. Trzy węzły u mojego pasa mają przypominać o trzech ślubach, które składamy: życia bez własności, w czystości i posłuszeństwie. Wszystkie rzeczy użytkowe są wspólne, np. telewizor, samochód, meble etc. Jeśli otrzymamy jakieś wynagrodzenia za swoją pracę, to oddajemy je do wspólnej kasy. Nie możemy mieć swoich pieniędzy. Jeśli czegoś potrzebujemy, zgłaszamy się do ekonoma klasztoru, prosimy o konkretną sumę, mówimy na co, a później się z tego rozliczamy, przynosząc resztę i paragon.

Św. Franciszek mawiał, że wiara to mało teorii, a dużo praktyki. Czy wobec tego duchowni mają do nieba bliżej?

- Św. Jan Paweł II podczas swojego pontyfikatu świadomie wynosił na ołtarze ludzi z różnych stanów i zawodów, bo chciał pokazać, że świętość nie jest zarezerwowana tylko dla duchownych czy osób konsekrowanych. Wystarczy być wiernym wobec swojego powołania (w kapłaństwie, zakonie, małżeństwie, rodzinie, samotności). Każda droga, jeśli jest zbudowana na fundamencie Ewangelii, jest drogą do świętości. Wystarczy ją tylko odkryć i oprzeć na chrześcijańskich wartościach.

A czego zdaniem ojca najbardziej brakuje na tej drodze osobom świeckim?

- Trudno powiedzieć, to byłoby generalizowanie. Myślę, że w dzisiejszych czasach nam wszystkim najbardziej brakuje ofiarności i bezinteresowności. Zbyt często stawiamy sobie pytanie „Co ja za to będę miał”. Myślę, że to jest przesłanie do dzisiejszego świata, bo szczególnie reklamy niszczą nas, mówiąc: „Ty jesteś najlepszy”, „Ty to musisz mieć”, „Nie bądź głupi”. Droga do świętości wiedzie przez krzyż, przez trudy do gwiazd.

Św. Franciszek mawiał „Zacznij od robienia tego, co konieczne, potem rób to, co możliwe. Nagle odkryjesz, że dokonałeś niemożliwego”. Czy doświadczył ojciec kiedyś tego?

- Z pewnością było wiele takich sytuacji. Bywa, że człowiek osiąga coś, o czym wcześniej nie mógł nawet marzyć, czego nie dokonali nawet lepsi od niego. Czasem to, co jedni nazywają zbiegami okoliczności, ja wolę nazywać zrządzeniem Opatrzności Bożej, która dała mi szansę i postawiła mi na drodze odpowiednich ludzi we właściwym czasie.



Gwiezdne Wojny

oczami fana

Miałem jakieś sześć czy siedem lat, gdy mój nieżyjący już dziadek zabrał mnie do kina. Aż do rozpoczęcia seansu nie miałem pojęcia na co wtedy poszliśmy.

Nie wyobrażałem sobie nawet, że od tego seansu w moim życiu pojawi się tak wielka pasja, która trwa do dziś. Światła zgasty i pojawił się niebieski napis „Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...”. Po nim nastąpił dźwięk fanfar i ogromne żółte litery zaczęły sunąć po ekranie. Chwilę później już wiedziałem, że to było TO: „Imperium kontratakuje” – najlepsza w mojej ocenie część ze wszystkich, jakie do tej pory powstały.

Później przyszła kolej na „Powrót Jedi”, który w kinie obejrzałem chyba jakieś 200 razy. Do pełni szczęścia brakowało mi wtedy „Nowej nadziei”, jednak w żadnym kinie tego filmu już nie grano. Nie liczyłem wówczas na to, że kiedykolwiek go obejrzę na dużym ekranie – wszak były to czasy PRL – ale z odsieczą przyszła Telewizja Polska. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

Poniedziałek wielkanocny, całą rodziną zasiadłem przed starym czarno-białym telewizorem i chłonałem wszystkimi zmysłami tę ostatnią brakującą część układanki. Byłem cholernie szczęśliwy, że wreszcie udało mi się zobaczyć całość. Oprócz oglądania (jeśli się dało) filmów w latach 80. można było jeszcze kolekcjonować, np. gumowe figurki ulubionych bohaterów, które wprawdzie strasznie śmierdziały, ale sprawiały wiele frajdy. A dziecku niewiele do szczęścia potrzeba. Kolejne lata mijały, człowiek dorastał. O Gwiezdnym Wojnach było cicho, aż nastał rok 1997, który przyniósł odświeżenie całej sagi. STAR WARS TRILOGY SPECIAL EDITION znowu przyciągnęło ludzi do kin. To właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyłem „Nową nadzieję” na wielkim ekranie. Lepiej późno niż wcale.



W latach 1999 – 2005 powstały prequely gwiazdnej sagi, czyli „Mroczne widmo”, „Atak klonów” i wreszcie „Zemsta Sithów”. Filmy te, choć już tak nie porywały, stworzyły tzw. nową trylogię. Jako dopełnienie pojawił się też pełnometrażowy film animowany „The Clone Wars” (2008), będący wstępem do serialu o tym samym tytule. W 2012 r. George Lucas sprzedał prawa do Gwiazdnych Wojen Disney’owi – zaowocowało to kolejnymi filmami: Przebudzenie Mocy (2015), „Łotr 1” (2016), „Ostatni Jedi” (2017). W tym roku na ekranach kin zagości „Solo”. Nie można też zapomnieć o serialu „Rebelianci”, który emitowany jest od 2014 r. W ten sposób kolejne pokolenia mogą zacząć swoją przygodę ze światem Star Wars. I pomyśleć tylko, że o mały włos ten cały fenomen, jakim dziś są Gwiazdne Wojny, w ogóle by nie powstał.

W roku 1977 młody George Lucas chciał zrobić coś nowego. Wprowadzić nową jakość do kina, taką odrobinę szaleństwa. Z uwagi na zbyt wysokie koszty planowanego przedsięwzięcia żadna z wielkich wytwórni filmowych nie chciała jednak podjąć ryzyka. Dopiero stojący na skraju bankructwa 20th Century Fox dogadał się z Lucasem, który zrezygnował z zysków ze sprzedaży biletów, ale zastrzegł sobie wyłączność na wszystkie gadzety, książki, komiksy, tantiemy i ewentualne kolejne części. To był strzał w dziesiątkę, bo dzięki temu (ostatecznie) zyskał fortunę, a my mogliśmy oglądać kontynuację tego dzieła, które co prawda arcydziełem kinematografii nie jest, ale po dziś dzień

porywa, fascynując nie tylko olbrzymią różnorodnością światów, postaci i wydarzeń, ale też oferując wszelkie dostępne nośniki, takie jak książki, komiksy czy gry komputerowe.

Warto na koniec także przypomnieć, że tzw. „stara” Trylogia postrzegana była również jako obraz ówczesnej sytuacji politycznej świata. USA stanowiły siły Rebelii, a w ZSRR upatrywano złowrogiego Imperium Galaktycznego. Doszło nawet do tego, że prezydent Ronald Reagan ogłosił Projekt „Gwiazdne Wojny”. Oczywiście z ekonomicznego punktu widzenia projekt ów był niewykonalny, ale podobno napędził sówietom stracha, co po części przyczyniło się do ekonomicznego upadku ZSRR, który większość funduszy lokował w kolejny wyścig zbrojeń. Stara Trylogia miała swój niepowtarzalny klimat, który sprawiał, że później każdy chciał być Lukiem, Darthem Vaderem, Hanem Solo, Chewbacą, czy choćby żołnierzem Rebelii bądź szturmowcem Imperium; wiele dziewczyn pragnęło też być jak księżniczka Leia. Któż z nas, tych starych wyjadaczy, nie bawił się w ten sposób?

Wszechświat Gwiazdnych Wojen rozrasta się w postępie geometrycznym i ku uciesze fanów nie widać końca tej ekspansji. Ja jednak nigdy nie zapomnę tych pięknych chwil spędzonych z dziadkiem w kinie na „Imperium kontratakuje”, oraz wspomnień, jakie film ten we mnie wywołuje. Niech Moc będzie z wami... na zawsze!

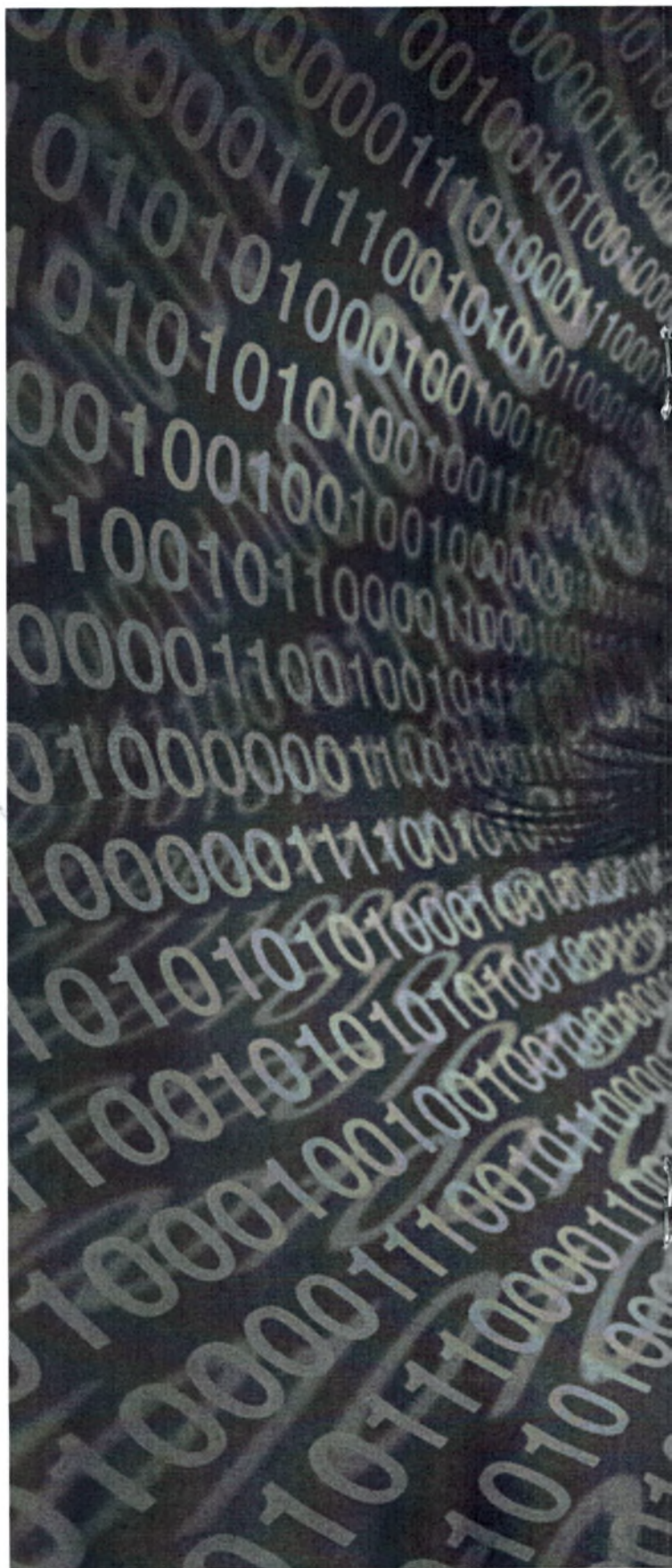
Autor: Łukasz Kołton

Inwigilacja w Internecie

– trzecie oko służb specjalnych

Minął już przeszło rok, kiedy to prezydent Andrzej Duda podpisał nowelizację tzw. ustawy inwigilacyjnej, jednak do dziś niewielu obywateli zdaje sobie sprawę, jaki to ma wpływ na ich prywatność.

Nie od dzisiaj wiadomo, że śledzenie naszych poczynań w Internecie to zjawisko występujące na skalę światową. Nawet tak duże marki w sieci jak Google czy Facebook otwarcie przyznają się do zbierania informacji o aktywności swoich użytkowników. Po co? Tego do końca (sic!) nie wie nikt. Często zdarza się, że przy popełnieniu przestępstwa za pośrednictwem Internetu policja czy służby specjalne występują z nakazem o udostępnienie konkretnych informacji związanych z daną sprawą, i w tym przypadku tego typu działania miałyby swoje uzasadnienie. Jednak często zbierane dane są wykorzystywane na różne inne sposoby, które mocno uderzają w prywatność internauty. Doskonale możemy to zobrazować na przykładzie reklamy, która w ogromnym stopniu zalewa cały Internet. Chyba każdy miał sytuację, w której oglądając w sieci oferty podróży wakacyjnych czy to wyszukiwania konkretnych produktów spotkał się z reklamami. Co ciekawe dziwnym trafem reklamy te oferowały tanie bilety lotnicze do miejsc, które nas interesowały, lub szukane przez nas produkty w super promocyjnych cenach. Przypadek? Nie, po prostu nasze preferencje oraz aktywność w sieci są katalogowane i zapisywane, do naprawdę przeróżnych celów.



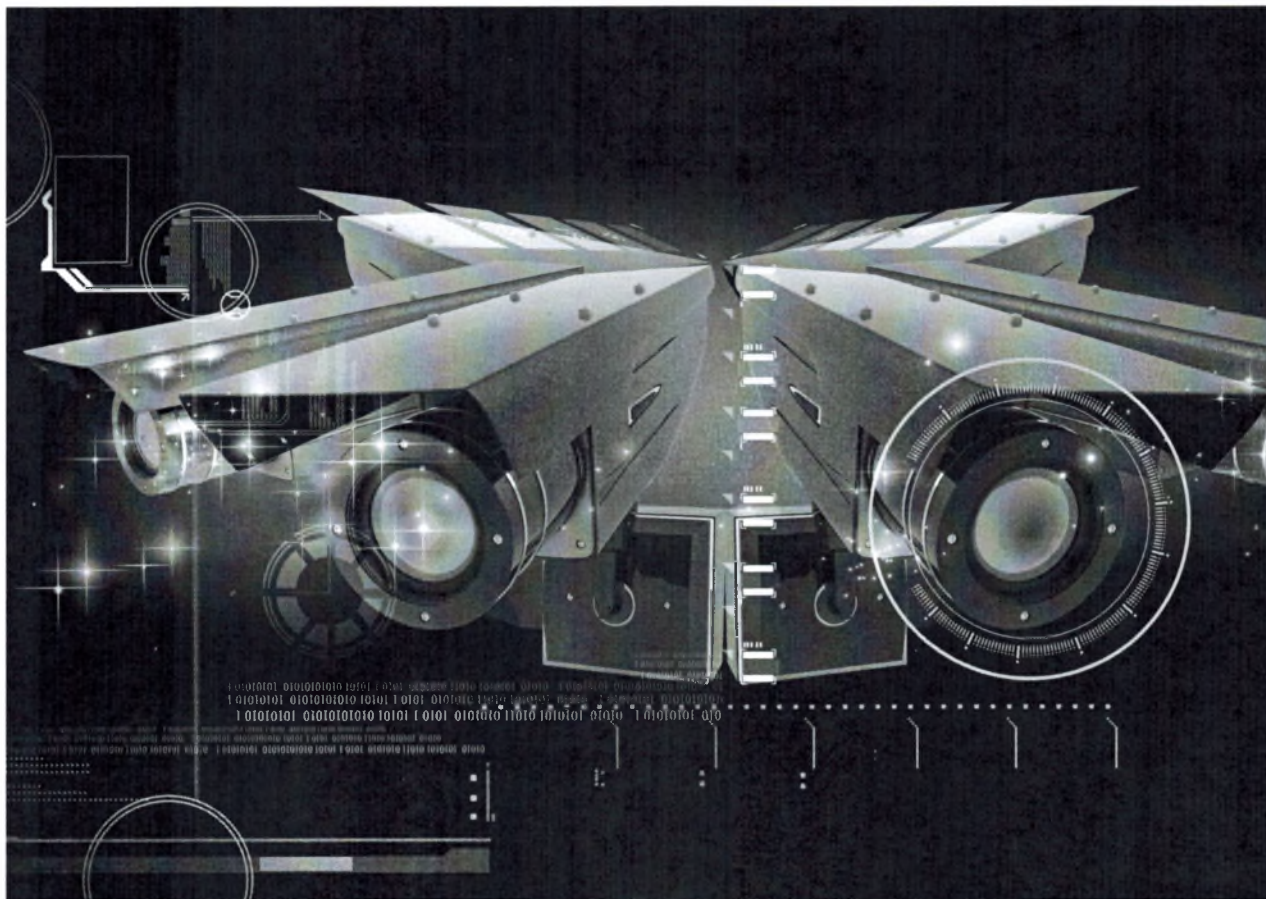




To wszystko jest jednak niczym w porównaniu z tym, co zafundowały nam władze naszego kraju. Chodzi o wspomnianą ustawę inwigilacyjną, która pomimo wielu głosów sprzeciwu weszła w życie 7 lutego 2016 roku. *Vacatio legis*, czyli okres między publikacją ustawy a jej wejściem w życie, określono na zaledwie 3 dni, co już wzbudziło duże kontrowersje. Najbardziej niepokojące zapisy tego dokumentu zezwalają na uzyskiwanie danych w sprzęcie komputerowym, telefonach oraz różnego rodzaju systemach IT. Do tego dochodzi inwigilacja wizyjna i zakładanie podsłuchów, a wszystko to możliwe bez zgody sądu. Dostawcy usług internetowych mają obowiązek umożliwienia inwigilacji konkretnego użytkownika w przypadku takiej potrzeby. Dodatkowo służby mogą bez pozwolenia pozyskać dane bilingowe od operatorów telekomunikacyjnych, a także śledzić kogoś przy użyciu transmisji GPS. Możliwe do pozyskiwania w drodze kontroli operacyjnej są nawet dokumenty objęte tajemnicą lekarską, adwokacką czy dziennikarską. Powyższe przywileje przysługują policji, służbom specjalnym – takim jak ABW, a nawet wywiadowi skarbowemu oraz żandarmerii wojskowej. Jak szybko można wywnioskować są to bardzo poważne uprawnienia, które dają dużą władzę nad każdym obywatelem. Wiele środowisk, które sprzeciwiały

się wprowadzeniu ustawy, obawia się, że nowe przywileje mogą być nadużywane i nie powinny pozostawać bez odpowiedniej kontroli. Ustawa pozornie zakłada poprawę bezpieczeństwa obywateli, jednak w rzeczywistości na mocy tego dokumentu każdy z nas może być inwigilowany w sieci i nigdy się o tym nie dowie. Oczywiście istnieje wiele sposobów aby bronić swojej prywatności w Internecie, jak np. korzystanie z serwerów VPN lub sieci TOR, jednak dla osób, które nie mają większej wiedzy informatycznej, może to być bardzo trudne w realizacji.

Skala inwigilacji w Polsce i na świecie jest bardzo duża, a wraz z rozwojem technologii wciąż rośnie. Sprzyja temu powstawanie coraz to nowszych urządzeń połączonych bezpośrednio z Internetem, po które tak chętnie wszyscy sięgamy, oraz złudna chęć bycia „na topie”. Jednym z największych w historii demaskatorów masowej inwigilacji ludzi na świecie był Amerykanin Edward Snowden, były pracownik CIA i NSA. W 2013 roku ujawnił on kilkaset tysięcy poufnych i tajnych dokumentów NSA ukazujących skalę inwigilacji. Jego działanie zostało uznane za jeden z największych wycieków danych w historii USA. W ujawnionych przez Snowdena dokumentach znalazły się szokujące infor-



macje o programie PRISM, który pozwala na masową skalę podsłuchiwać rozmowy obywateli Ameryki, ale również innych krajów. Kolejnym faktem, który przy tej okazji wyszedł na światło dzienne, było szpiegowanie przez służby USA różnych instytucji UE i ponad 30 czołowych polityków Unii Europejskiej. Jako ciekawostkę wyjawiono fakt, iż podsłuchiwany mógł być nawet telefon kanclerz Niemiec Angeli Merkel. Snowden twierdzi, iż popularny smartfon o nazwie iPhone posiada zintegrowane oprogramowanie, które umożliwia śledzenie użytkownika, dlatego sam posługuje się zwykłymi telefonami. To tylko jedne z niewielu informacji, które zostały przez niego upowszechnione, ale budzące największe kontrowersje. Na podstawie historii Edwarda Snowdena został nakręcony film pt. „Snowden”, który bardziej szczegółowo opowiada jego historię.

Podsumowując, najlepszą obroną przed inwigilacją byłoby całkowite zaprzestanie korzystania z Internetu. Wiemy jednak, że w dzisiejszych czasach to praktycznie niemożliwe. Jeśli zależy nam na prywatności, powinniśmy jak najszybciej zacząć szyfrować swoje połączenie internetowe, co uniemożliwiłoby podsłuchiwanie ruchu sieciowego. Do komunikacji najlepiej używać darmowej aplikacji (np. Signal), która

umożliwia wykonywanie połączeń oraz wysyłanie wiadomości szyfrowanych. Również dobrym pomysłem będzie założenie bezpiecznej skrzynki poczty e-mail – niekoniecznie u polskich dostawców – tu dobrym wyborem mogą być np. usługi szyfrowanej poczty e-mail o nazwie Protonmail, które zapewniają szyfrowanie naszej poczty na najwyższym poziomie bez możliwości ingerencji osób trzecich. Sprawa bezpiecznej poczty jest kluczowa, gdyż znajduje się tam wiele poufnych informacji, a ustawa inwigilacyjna pozwala na dostęp do skrzynki pocztowej obywatela praktycznie od ręki (oczywiście tylko wtedy, kiedy wymaga tego postępowanie). Myślę, że są to minimalne wymagania do spełnienia, jeśli chcemy zadbać o swoją prywatność i poczuć się w pełni anonimowo w sieci. Oczywiście zawsze powinniśmy postępować w sposób zgodny z prawem i uważać na to, co mówimy lub udostępniamy za pośrednictwem Internetu. Trzeba mieć świadomość, że Internet już dawno przestał być miejscem, gdzie panuje wolność słowa, a inwigilacja może dotyczyć nas nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Autor: Łukasz Rzeszutek



Ja, Akolita, czyli moja pierwsza sesja RPG

Była to blada i zimna sobota...

Chodniki wokół pokrywała lekka niczym pianka warstwa śniegu. Tylko prawdziwym śmiątkom chciało się wychodzić gdziekolwiek w ten chłodny dzień. Wśród odważnych byłem również ja. Stopy zaprowadziły mnie na ulicę Saską, gdzie w jednym z mieszkań czekał na mnie list od mistrza Ottona Blumfena. Było tam również trzech innych bohaterów: elf Gilrond Płatek Róży, niziołek Edzio i grabarz Wilhelm. Jak oni, tak i ja musiałem odpowiedzieć na wezwanie Zakonu Kruka, wszakże od kilkunastu lat jestem akolitą Morra,

boga śmierci i podziemnego świata. Witajcie, zwę się Luther, a to mój warhammerowy debiut!

RPG to z angielskiego, Role-Playing-Game a więc gra w odgrywanie ról. Przeżywa się przygody w wymyślonym świecie, opartym na konkretnych mechanikach; każdy ma swoją kartę postaci z opisami jej zdolności, cech, statystyk czy ekwipunku. Nad sesją i mechaniką niepodzielnie rządzi Mistrz Gry. To on prowadzi drużynę przez historię, opisuje miejsca, jakie śmiątkowie odwiedzają, i wciela się w postaci niezależne. Sesja trwa zazwyczaj od około dwóch do nawet (jak w moim

przypadku) 6-7 godzin, ale wbrew pozorom mijają one naprawdę szybko, o czym się zresztą przekonałem.

Pod koniec zeszłego roku na swoim fanpejdżu Grupa Filmowa „Darwin” ogłosiła, że weźmie udział w sesji RPG na kanale Twitch niejakiego Michała „Baniaka” Bańko. Ich jednostrzałowa przygoda trwała półtorej godziny, jednak zdążyła na dobre zakorzenić we mnie ciekawość do gatunku. Wyszukałem na YouTube kanał Baniaka, obejrzałem kilka filmów, śledziłem na żywo trzysesyjną kampanię z Darwinami, aż wreszcie wstąpiłem do grupy „RPG Kraków Gramy” na Facebooku. Pozostało mi tylko czekać na odpowiednią okazję, w tzw. międzyczasie zamawiając kostki do gry i czytając w PDF-ie podręcznik do systemu Warhammer: Fantasy Role-Play.

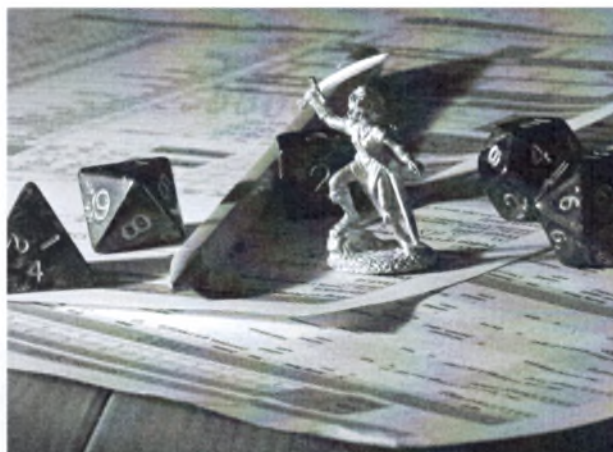
Dalej czekałem już tylko na odpowiedni moment, by wstawić komentarz z zapytaniem o dołączenie do sesji. Okazja nadeszła szybciej, niż się spodziewałem. Niejaki Łukasz wstawił post: „poszukiwana czwarta osoba do sesji Warhammera; preferowany początkujący gracz; będą wyjaśniane podstawy, gdyż większość osób jest pierwszy raz”. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, odpowiedziałem, a kilka minut później otrzymałem wszelkie instrukcje. Dostałem zaproszenie na godzinę 15:00, blok przy ulicy Saskiej, rozgrywka u kolegi Mistrza Gry.

Po drodze kupiłem jeszcze jakieś ciastka i sok jabłkowy – by nie było, że przychodzę w gości z pustymi rękoma. Po drodze spotkałem trzeciego gracza, Grzegorza. Szybki telefon i już byliśmy na miejscu.

Mieszkanie nie było ani duże, ani nowe. Drewniane drzwi, małe komódki, niewielki korytarz, oddzielna, równie wielka ubikacja; jakby nie patrzeć – standardowe PRL-owskie budownictwo. O dziwo, krzątało się tam całkiem sporo osób. Oprócz mnie i Grześka byli jeszcze „niziołek” Maciek, Adam „elf” oraz „Mistrz Gry” Łukasz. Na stole, złożonym z kilku kwadratowych stolików, mieściło się zaskakująco sporo: przekąski, napoje, kartki, ołówki, kostki i laptop Łukasza. Miejsca do siedzenia, jak na te warunki, nie było wiele, ale wystarczyło, że każdy miał na czym grać tyłek. Ze stojącego na biurku komputera leciała klimatyczna, średniowieczna melodia, przeplatana z muzyką z *Wiedźmina 3* oraz *Dragon Age: Inquisition*.

Pierwsza godzina spotkania upłynęła na przedstawieniu mechanik. Z uwagą śledziłem każdy segment swojej karty postaci, by jak najlepiej zrozumieć zasady wyliczeń podczas rzutu kośćmi. Nie wszystko jeszcze pojmowałem w stu procentach, ale z każdą kolejną sesją powinno być coraz lepiej. Nie będę was jednak nudzał niepotrzebnymi szczegółami i przejdę od razu do meritum.

Przygoda dotyczyła poszukiwań niejakiego Petera Weissa, kapłana Zakonu Kruka, opiekuna cmenta-



rza niedaleko miejsciny Munkenhof. Od roku nie dawał znaku życia, mistrz Otto wysłał więc swojego ucznia, zwiadowcę, grabarza oraz strażnika pół uprawnych na pełną przygodę i niebezpieczeństw misję. Aby nie spoilerować, wspomnę tylko, że scenariusz pochodzi od samego Baniaka i nosi tytuł „Przez Bramy Morra”. Bardzo dobry materiał na sesję! Skłamałbym mówiąc, że przez bite sześć godzin siedzieliśmy w skupieniu i pełnej powadze. Wczuwaliśmy się w role, co rusz wytwarzała się jakaś śmieszna sytuacja. Niemal całą sesję dowcipkowaliśmy z kwiecistego przydomku „elfa”, dziwnych akcji, które ktoś z nas zrobił bądź wypowiedzianych kwestii. „Słuchajcie, miałem sen...” – powiedziałem jako akolita Luther, i choć nie było to zamierzone, cudnie wpisało się w sytuację!

Jaka była moja postać? Wyniosła, lubiąca traktować z góry zwykłych wieśniaków, wykorzystująca swoją pozycję społeczną i wykształcenie w piśmienictwie do osiągnięcia celów. Szkoda, że nie grałem magiem, a studentem kapłaństwa, choć wbrew temu, co zauważył Maciek, bynajmniej nie jest to służący dobremu bóstwu kleryk z ministrantem w ekwipunku.

Gdy wracałem do domu, było już po 22-giej. Gra niepotrzebnie się przedłużyła, ale była to jednocześnie pierwsza sesja Łukasza: w ogóle, jak i w roli Mistrza Gry. Scenariusz wraz z postaciami pobrał gotowy z internetu, choć przygotowania zajęły mu tydzień. Jak sam mówi, na razie chce odpocząć od RPG-ów, ale Maciek z kolei zapowiedział przygotowanie przygody na podstawie pierwszej części gry *Neverwinter Nights*, co zajęłoby mu około miesiąca.

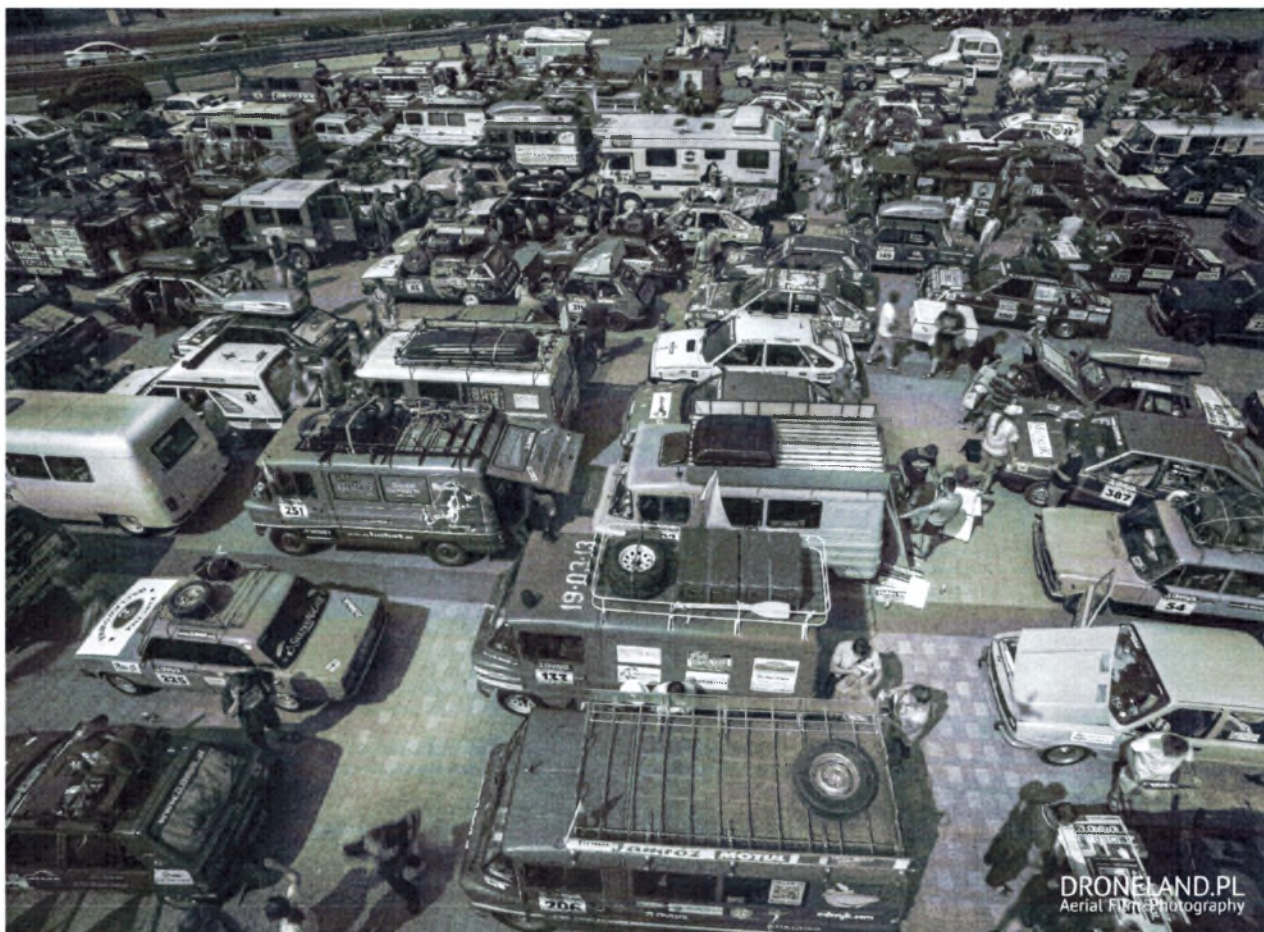
Mam nadzieję, że na tym nasze „erpegowe” spotkania się nie skończą i dane nam będzie jeszcze co jakiś czas grać. Jeśli tu nie będzie odzewu od nich, poszukam innej drużyny. Po sześciu godzinach odgrywania akolity byłem głodny i totalnie wykończony, a mimo to mam ochotę na więcej!

Autor: Mateusz Matłok aka Luther Akolita



Kiedy dzieci powinny się usamodzielniać

20 lutego w Dworku Białoprądnickim w Krakowie miało miejsce spotkanie z psycholog Magdaleną Sękowską. W jego trakcie słuchacze mogli się dowiedzieć czym jest proces separacji pomiędzy rodzicem i dzieckiem, i na czym on polega.



Złombol – rajd charytatywny

Miejsce docelowe zostało określone jak zawsze w Sylwestra. W tym roku „złomki” startują w Katowicach pierwszego września, na metę przybędą do greckiego Chalkidiki piątego września. Wszystko jak zawsze dla dzieci ze śląskich domów dziecka.

Złombol to coroczny rajd charytatywny. Każda złotówka, która zostanie zebrana, przekazywana jest dzieciom. W rajdzie udział może wziąć każdy kto chce pomagać, lubi przygody i adrenalinę oraz... posiada samochód rodem z PRL.

Pierwsza podróż odbyła się w 2007 roku. Wówczas wzięły w niej udział dwa auta i trójka dobrych zna-

jomych. W tym momencie jest to już wiele załóg, tworzących jeden wielki team, który ma wspólny, szczytny cel.

Gdy początkowo udało się zebrać 14 tysięcy złotych, organizatorzy postanowili, że nie mogą na tym skończyć, bo potrzeby dzieci są zbyt duże. I tak, z roku na rok przybywa coraz więcej ekip – w 2008 roku wystartowało 13 aut, w 2010 „złomów” w trasie było jeszcze więcej, bo aż 109. Lista chętnych nieustannie się powiększa, a i zbierana kwota sukcesywnie wzrasta. W 2016 roku udało się zebrać dla dzieciaków aż milion złotych, a rok temu ponad 500 drużyn zebrało ok. 1 130 000 zł.



Organizatorzy rajdu mogą zagwarantować dobrą zabawę, przygody i satysfakcję z osiągniętego celu. Każdy może liczyć na wsparcie ze strony własnej ekipy, wyruszającej na swój koszt (jedzenie, picie oraz nocleg). Jeśli „złomek” się zepsuje, trzeba będzie zająć się nim osobiście i ruszyć dalej. Plusem jest to, że załogi często wspierają się nawzajem, więc w razie kłopotów z naprawą można być pewnym, że inny team będzie chciał pomóc.



Każdy, kto chce wystartować w Złombolu, musi posiadać samochód wyprodukowany w PRL-u oraz pozyskać darczyńców na kwotę minimum 1500 zł. Sponsor dzięki wpłacie uzyskuje miejsce na powierzchni reklamowej na danym samochodzie.

Jeśli planujesz wakacje, ale nie chcesz spędzać ich wyłącznie „pod palmą” – polecam zainteresować się tą świetną akcją. Gwarantowana adrenalina, niepowtarzalne przeżycia i piękne widoki. Plus duża szansa na zawarcie nowych znajomości, które zaowocują przyjaźnią na długie lata. W Złombolu nic się nie traci, a można jedynie zyskać. I, co najważniejsze, pomóc dzieciakom.

Autor: Magda Grochalska



DIY,

czyli zrób to sam:

organizer na dokumenty

Pewnie każdemu z was zdarzyło się położyć dokument, zeszyt lub czasopismo w jakimś „zapomnianym” miejscu. Miejscu, które się takim okazuje zawsze wtedy, gdy chcecie zajrzeć do takiego dokumentu ponownie, a okazuje się, że on sam gdzieś magicznie zaginął... Zazwyczaj niestety zdarza się tak, że znajdujemy go po jakimś czasie, w momencie, w którym już nie jest nam potrzebny. Bez obaw! Tym razem mamy rozwiązanie, które dodatkowo ułatwi wasze życie, doda ciekawego wyglądu waszemu wnętrzu, i jest proste w wykonaniu.

Do wykonania organizera będzie potrzebne:

- Kartonowe pudełko
- Ołówek
- Nożyczki lub nożyk do papieru
- Ozdobny papier lub farba
- Linijka
- Taśma samoprzylepna lub klej





Krok 1.

Rysujemy kreski na bokach pudełka, jeden bok wysokości 30 cm, drugi 10 cm. Następnie rysujemy kreskę po przekątnej, tak aby linie z bocznych ścian się łączyły.



Krok 2.

Wycinamy pudełko zgodnie z narysowanymi przez nas liniami.



Krok 3.

Wyklejamy karton ozdobnym papierem.



Krok 4.

Wkładamy nasze czasopisma, zeszyty do środka i organizator gotowy!

Grunt to dobra organizacja, dlatego czemu nie zacząć od czegoś tak przydatnego jak organizator na dokumenty, który w dodatku wykonacie samodzielnie w kilka minut? Możecie go spersonalizować, nadać mu własny design, wykonać kilka i połączyć w jeden większy. Wysokość organizera jest oczywiście dowolna,

może być dopasowana do wymiarów dokumentów A4 (tak jak w naszym przykładzie) lub wykonana na mniejszy zeszyt lub notes – wybór należy do was.

Powodzenia!
Autor: Małgorzata Majcherek

Pierwsza praca

mini-poradnik



Drogi Studencie!

Starasz się o pierwszą pracę, ale nie wiesz jakie przygotować dokumenty? Ten mini-poradnik jest właśnie dla Ciebie!

1. Jak napisać CV?

CV jest dokumentem, w którym zamieszczone są nie tylko nasze dane teleadresowe, ale też informacje dotyczące:

- naszego dotychczasowego doświadczenia zawodowego,
- uzyskanego wykształcenia, odbytych kursów i szkoleń (i związanych z tym uprawnień),
- dodatkowych umiejętności – języki obce, obsługa komputera,
- innych atutów, zainteresowań, itp.

CV jest dokumentem określającym **naszą wartość na rynku pracy** – wszelkie informacje w nim zawarte muszą być **prawdziwe** i mogą być sprawdzane podczas rekrutacji.

Co powinno zawierać CV?

Jeśli wysyłamy je na określone stanowisko:

- niech życiorys będzie dokumentem pokazującym, że mamy odpowiednie kwalifikacje na to stanowisko,

- wiadomości w nim zawarte muszą być spójne, czyli np. zakres obowiązków powinien raczej odpowiadać nazwie stanowiska (nie zawsze tak będzie, ponieważ pracownicy wykonują różnorodne obowiązki, ale nie można oczekiwać od pracodawcy, że zainteresuje się przedstawicielem handlowym, jeżeli w opisie jego stanowiska będą się znajdować obowiązki takie jak wypełnianie bazy danych czy tłumaczenia, itp.).
- CV musi być dokumentem czytelnym, schludnym, pozbawionym błędów i – zazwyczaj w przypadku absolwentów – jednostronicowym
- dobrze, jeśli na podstawie CV wyłania się obraz osoby sympatycznej, konsekwentnej w działaniu, która wie, czego chce od życia

Pamiętaj!

Osoba rekrutująca poświęca około jednej minuty (a często **tylko 30-40 sekund**) na przeczytanie **Twojego CV**. Warto napisać je dobrze i dopracować najmniejsze szczegóły, tak aby na tej minucie się nie skończyło.

Na końcu CV obowiązkowo należy zamieścić to zdanie:

Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w przesłanym CV dla potrzeb niezbędnych w procesie rekrutacji, zgodnie z ustawą z dnia 29.08.1997 roku o Ochronie danych Osobowych (Dz.U.Nr. 133 poz.883)

Najczęstsze błędy w CV

- Ogólny chaos – różna czcionka, odstępy,
- Brak wszystkich danych (w tym dat),
- Błędy w pisowni, np. *Power Poin*,
- Nieprofesjonalny adres mailowy, np. *landryna@wp.pl*
- Brak klauzuli o przetwarzaniu danych osobowych,
- Brak opisu głównych obowiązków przy wykonywanych stanowiskach,
- Zła kolejność w podaniu doświadczenia zawodowego.
- Niewłaściwy dobór zdjęcia.

2. List motywacyjny

List motywacyjny odgrywa bardzo ważną rolę w procesie rekrutacji. Jego celem jest pokazanie, że kandydat posiada odpowiednie predyspozycje do pracy na danym stanowisku; wyraża on jego motywację oraz zwiększa szanse na zaproszenie do rozmowy kwalifikacyjnej.

Przed napisaniem listu odpowiedz sobie na 3 pytania:

- „Dlaczego właśnie ta firma?”
- „Dlaczego właśnie to stanowisko?”
- „Dlaczego właśnie ja powinienem zostać przyjęty/-a?”

W samym liście:

- trzeba umieścić swoje dane, łącznie z telefonem, następnie dane firmy, w której ubiegamy się o pracę
- Należy wpisać numer referencyjny – informację, o jakie stanowisko się ubiegamy
- zachowując formę listu opisać swoje wykształcenie i umiejętności pod konkretne stanowisko
- warto podkreślić swoje osiągnięcia, mocne cechy, które zwiększą nasze szanse na zdobycie wymarzonej pracy

List motywacyjny – najczęstsze błędy

- Brak nadawcy lub adresata listu
- Zbyt krótki lub zbyt długi list – idealna długość 1 strona A4
- Literówki, błędy ortograficzne, nieaktualna data
- Podkreślanie braku doświadczenia
- Krytykowanie poprzedniego miejsca pracy
- Stosowanie utartego szablonu – jeden list wysyłany na różne stanowiska

3. Rozmowa kwalifikacyjna

★ Rozmowa telefoniczna z rekruterem

Staraj się uzyskać jak najwięcej informacji podczas rozmowy:

- Kto?
- Gdzie?
- Kiedy?
- Ile?
- Kontakt!

Rozmowa telefoniczna może również służyć weryfikacji umiejętności i motywacji kandydata, np. test językowy, pytanie o referencje itp.

★ Przygotowanie

- Co wiem o danej firmie i czy wiem wystarczająco dużo o stanowisku, o które się staram?
- Użyj wielu źródeł:
 - Internet (strony firmowe, portale gospodarcze itp.)
 - Prasa (lokalna, branżowa)
 - Siedziba (zobacz, jak wygląda)
 - Znajomi (popytaj)
- Koniecznie:
 - przeczytaj dokładnie CV i list motywacyjny przed przyjściem na rozmowę
 - zastanów się nad poszczególnymi faktami ze swojego CV (np. *dla czego wybrałem/am ten kierunek studiów, czego nauczyłam się podczas odbywania praktyk*)
 - poprzyj każde wydarzenie, słowo faktem
 - przygotuj kilka słów o zainteresowaniach: teatr, kino, sport.
- Spróbuj wyobrazić sobie:
 - jaka mogłaby być Twoja rola w firmie,
 - jakie problemy mogą pojawić się w trakcie realizacji tych zadań i jak można je rozwiązać,
 - pomyśl jaka osoba tam jest potrzebna,

- Następnie wyobraź sobie rozmowę kwalifikacyjną:
 - pytania, które mogą być zadane
 - przygotuj sobie dokładne odpowiedzi
 - zastanów się, jakie pytania Ty chcesz zadać
- Przygotuj wypowiedzi tak, aby:
 - pochwalić się swoimi osiągnięciami
 - potwierdzić swoje umiejętności

- pokazać, że jest się przygotowanym
- umieć zadawać pytania

★ Oko w oko z pracodawcą

- punktualność
- pewność siebie
- pozytywne nastawienie
- zwięzłe wypowiedzi (20% – pytania, 80% – odpowiedzi)
- podziękowanie za poświęcony czas
- dalsze etapy rekrutacji – pytanie: kiedy?

★ Co może zaszkodzić rozmowie?

- nieznamość treści swojego CV i listu motywacyjnego
- brak wiedzy i informacji o firmie
- niepamięć co do treści ogłoszenia, na które się odpowiedziało
- zaskoczenie pytaniami
- Ogólne, sloganowe odpowiedzi
- Nieumiejętność potwierdzenia swoich wypowiedzi
- Mrużenie pod nosem
- Brak kontaktu wzrokowego, postawa wycofana, zamknięta
- Rozpoczęcie rozmowy od pytań o zarobki i czas pracy
- Krytykowanie byłych pracodawców
- Przerwywanie osobie zadającej pytania
- Gadulstwo lub odpowiadanie monosylabami
- Brak pytań ze strony Kandydy.

Artykuł Koła Naukowego „Menedżer”, K.A im. A.F. Modrzewskiego

Powiedz szczerze:

**czy wiesz, co będzie
robić za kilka lat?**

Prawda jest taka, że tego nie wie nikt.

Dlatego

**NIE STRAĆ SZANSY
na lepszy start!**

Zdobądź cenne doświadczenie
zawodowe już na uczelni!

Do tego łatwo, miło i przyjemnie!

Dołącz do redakcji **MIXERA**
i zdobądź ceniony wpis do CV!

UWAGA! To nieważne, na jakim
kierunku studiujesz!

NAPISZ TERAZ NA ADRES:
gazetamixer@gmail.com